ROZMAITOŚCI.

Dnia 10 stycznia, N^er 2. roku 1846.

NIEBOSZCZKA,
CZYLI
MĄŻ I KOCHANEK.

(Dokończenie.)

Po odjeździe Dyjany wrócił hrabia Tonquedec do domu, uwziąwszy się koniecznie zostać wdowcem. W tym celu miał on długą rozmowę z Zuzią, któréj pomoc i milczenie były mu nieodzownie potrzebne. Grzeczna subretka podjęła się chętnie wymaganéj po niéj roli, a nazajutrz rano, wiedziało już całe miasto iż piękna hrabina de Tonquedec niebezpiecznie na ospę zachorowała. Słabość ta była wówczas nierównie sroższą niż teraz i wzniecała powszechny postrach. Ztądteż wszyscy ubolewali nad hrabiną, i wszyscy stronili od jéj pałacu. Lecz hrabia Tonquedec oświadczył głośno, iż ani na krok żony swéj nie odstąpi, i sam za pomocą jednéj tylko pokojowéj pielęgnować ją będzie.

Zaledwie piérwsza pogłoska o niebezpieczeństwie hrabiny się rozeszła, przybiegł Locmaria natychmiast do pałacu, i został przez hrabiego przyjętym.

»Spodziéwałem się» rzekł małżonek — »iż kto tak namiętnie, jak pan, kocha, i gotów jest rozlać krew za ukochany przedmiot, nie zlęknie się jakkolwiek zaraźliwéj choroby, która zawsze mniéj jest niebezpieczną, niż pchnięcie szpadą. Ztémwszystkiém, nie możesz pan widziéć się z moją żoną. Jestto doprawdy dziwaczną igraszką losu, iż pan, który nie pragniesz niczego goręcéj, jak tylko umrzeć razem z hrabiną, musisz zostawać od niéj zdaleka, podczas gdy ja, który radbym z duszy żyć z nią długo, spokojnie, muszę surowego dopełniać obowiązku, na niebezpieczeństwo zarazy się wystawiać, i może już jutro być równie blizkim śmierci, jak hrabina jest dzisiaj.»

To rzekłszy wyprowadził pan Tonquedec zasmuconego młodziana grzecznie aż do drzwi, i zamknął je za nim z zapewnieniem, iż żadnych więcéj odwidzin pana margrabiego nie przyjmie.

Nadaremnie więc dzwonił Locmaria nazajutrz rano z całéj siły u bramy pałacowéj, wszystkie okna były pozasłaniane, odźwiérny ogłuchł jak kamień, a sądząc z grobowego milczenia które wokoło pałacu panowało, można było wnosić, iż wszyscy w nim wraz z hrabiną wymarli. Wkońcu przecież otworzyło się jedno okno i wyjrzał zeń sam hrabia, w szlafmycy, niewyspany, a przynajmniéj niewyświeżony toaletą, i zawołał ku Locmaryi: »Coraz gorzéj! *Delirium*! Nié ma nadziei!» Poczém zamknął czémprędzéj okno, i kazał Zuzi przynieść butelkę burgundzkiego. Wypiwszy do połowy, otworzył znowuż okno, a widząc iż Locmaria nieporuszenie pod bramą stoi, zdjął szlafmycę, wzniósł uroczyście ręce i oczy w niebo, i ozwał się wzruszonym głosem: »Panie margrabio, stało się, już się wszystko skończyło! Już tam, w niebie!» I znowuż zamknął okno i rzekł do Zuzi: »Teraz trzeba wypić do reszty; dzięki Bogu, komedyja już odegrana.»

Locmaria chociaż miał u boku szpadę, nie przeszył sobie wiernego serca, nie dla tego, ażeby nie miał być serdecznie zakochanym, lecz ponieważ miał

to jeszcze za ostatnią rozkosz swojéj miłości, boleć nad jéj utratą — ponieważ tyle wdzięków, które nieprzebłagana śmierć mu wydarła, godne były dłuższego opłakiwania — ponieważ zresztą był pewny, iż nie pożyje długo na świecie, i złączy się wkrótce z aniołem, tam w lepszéj krainie duchów.

Wiadomość o śmierci hrabiny gruchnęła wnet po całém mieście, a hrabia zajął się niezwłocznie przygotowaniami do wspaniałego pogrzebu, któryby odpowiednim był jego wielkiéj żałości i przyrzeczeniu, jakie księciu gubernatorowi uczynił.

O kilka mil od Rennes jest las, sławny jeszcze z czasów rycerskich. Tamto przed laty odbywali paladynowie mnogie przygody, gnieździły się ludożercze olbrzymy, straszyły po nocy upiory, i stały śród nieprzebytych ostępów zaczarowane pałace. Tam też posiadał hrabia Tonquedec stary rodzinny zamek, gdzie się groby jego przodków znajdowały, i dokąd też teraz ciało hrabiny odprowadzone być miało. Jakoż odjechał tam w istocie duży, czarno osłonięty, starannie okryty powóz, a za nim w drugim powozie jechał hrabia w żałobie, otoczony liczną służbą, również żałobnie przybraną.

Tak umarła hrabina de Tonquedec dla całéj Bretanii, a stroskany małżonek zamieszkał na jakiś czas zdala od świata w swoim starożytném zamczysku, sadząc tam nowe aleje, i odbudowując oficyny, które już po części w gruzy się nachylały. Przytém polował, odwidzał bliższych sąsiadów, a po kilku miesięcach wrócił hoży i pocieszony do miasta. Piérwszą grzecznością jego było, iż poszedł do margrabiego Locmarii, którego zastał przy pożądaném zdrowiu, w dobrym humorze i wystrojonego jak na zabawę. Młodzieniec zmieszał się nieco na widok męża Dyjany,

»Jakto, panie margrabio» zawołał pan de Tonquedec, »więc jesteś, jak widzę, zdrów i wesół, a jam myślał doprawdy, żeś już dawno na tamtym świecie, gdyż tak silna namiętność, jak była twoja, nie mogła się inaczéj skończyć.»

»Ha» odpowiedział Locmaria —» wszakże i pan także zdajesz się znosić swoje stratę z stoiczną rezygnacyją.»

»Jak małżonek, panie margrabio, jak małżonek. Bo i zapewne! Śmierć ma przynajmniéj tę dobrą stronę, iż odbiéra nadzieję, a ponieważ każda namiętność, niech będzie jak chce gwałtowna, tylko przy istotném posiadaniu — żyć i utrzymymać się może, przeto niémasz wiecznego bolu. My obaj jesteśmy przykładem téj prawdy. Ale mimo to wszystko, czy uwierzysz, margrabio! pamięć nieboszczki nie daje mi wciąż jeszcze spokoju; zjawia mi się niekiedy we śnie; na jawie nawet prześladuje mię jéj obraz.— Otoż chcę temu raz na zawsze koniec położyć. Cóżbyś panie margrabio powiedział na to, gdybym ja raz jeszcze się ożenił.»

»Powiedziałbym że dobrze robisz. Nie jesteś wprawdzie panie hrabio już młodym, lecz nie jesteś też starym, i wyglądasz jeszcze bardzo rzeźko i czérstwo.»

»A serce moje» zawołał stary admirał w uniesieniu — »serce moje, to nigdy się nie zestarzeje, i dziś jak przed czterdziestą laty bije wciąż jeszcze jak u młodzieńca, niech tylko piérwszą lepszą piękną kobiétę ujrzę. Przytém nie mam ochoty zostawiać majątku spadkobiercom, którzyby radzi byli mojéj śmierci. To też już w istocie wybrałem. Znasz panie margrabio pannę, o któréj mówię; jest ona młoda, z dobréj familii, a jeszcze piękniejsza niż nieboszczka. Słowem, jestto panna de St. Herens.»

»Co!» krzyknął Locmaria— »Adelgunda de St. Herens!»

»Ta sama. Cóż pan na to? Zapraszam pana na weselę. Widzisz iż nie mam najmniejszéj urazy do ciebie.»

»Panna de St. Herens!» powtórzył młodzian— »maszże pan zapewnienie jéj miłości?»

»Tego jeszcze nie mam; lecz o takie rzeczy nie pytam wprzód jak po ślubie.»

»A jéj rodzina, czyż panu już przyrzekła?»

»Chcę właśnie iść tam, prosić ją o to.»

»Lecz panie hrabio—» zawołał z iskrzącym wzrokiem Locmaria— »czyż pan wszę-

-dzie będziesz mi na przeszkodzie. Wiedz pan, iż ja pannę St. Herens kocham.»

»Pan?! Niepodobna! Wszakże pan moję żonę kochałeś. Boleść pańska mogła się ułagodzić, mogłeś odstąpić od swego szalonego zamysłu zadania sobie śmierci, lecz tak prędko oddać się nowéj namiętności — to nie podobna. Gdybyś pan był małżonkiem Dyjany, jak ja naprzykład, to pozwalam, lecz bywszy jéj kochankiem—»

»Dość tych żartów. Zdaje się, iż nie wiész, panie hrabio, co tu w pańskiéj nieobecności zaszło. Mój związek z panną de St. Herens jest już rzeczą skończoną; przychodzisz pan za późno.»

Te ostatnie słowa przyjął hrabia z udaniem wielkiego żalu. »Ach, panie margrabio—» zawołał— »jeźli prawdziwe namiętności nie są do prawdy wiecznotrwałe, tedy zostawiają one przecież głębokie rany w sercu, które się łatwo zgoić nie dadzą; to nie może być, abyś pan moje żonę miał już zapomniéć. Pan nie możesz kochać panny St. Herens; pan tylko z namysłu to małżeństwo chcesz zawrzéć. Odstąp mi więc pannę Herens; jesteś jeszcze tak młody! masz czas, mnie zaś pilno —»

»Nie mogę, panie hrabio, nie mogę, dałem już słowo.»

»Ha, dobrze iż sobie przypomniałem! Oto, panie margrabio, pamiątka, która może serce twoje poruszy. W godzinę śmierci zdjęła moja żona tę bransoletkę uplecioną ze swoich włosów i dała mi ją mówiąc: »Oddaj to temu — który —» a wtém umarła—» i zarazem doręczył hrabia młodzieńcowi bransoletkę z pięknych blond włosów.

Locmaria kochał niegdyś Dyjanę z istotną namiętnością, i byłby chętnie przywłaszczył sobie ten upominek jéj wzajemnéj miłości, nabywający tém większego znaczenia od osoby, która mu go w téj chwili podawała. Czuł prawdziwą rozkosz na myśl tryjumfu, jaki przeto nad swoim rywalem odniósł, lecz uznał oraz, iż przyjmując pamiątkę po Dyjanie, zrzekał się tém samém swoich praw do ręki panny St. Herens, a to zdało mu się zbyt wielką ofiarą, gdyż nowa namiętność wyrugowała u niego piérwszą; dla tego zwrócił bransoletkę i rzekł wzruszonym głosem: »Nie panie hrabio, zatrzymaj tę relikwiję, nie może ona w niczyich rękach godniéj spoczywać jak w twoich. Ach, nie byłem ja tak szczęśliwym, jak pan sądzisz,»

Hrabia de Tonquedec schował bransoletkę do kieszeni, a Locmaria nie dostrzegł owego uśmiéchu zadowolenia, jaki około hrabiego ust zaigrał. Mimo co jednak stary Tonquedec uporczywie przy swoich zamiarach o pannę Herens obstawał, i rzekł nareszcie: »Panie margrabio, wiész już, jaki sobie plan ułożyłem. Próbujmy więc obadwaj kto z nas będzie szczęśliwszym.» To mówiąc zabiérał się do pożegnania, lecz Locmaria zmieszany prosił, aby się zatrzymał, a lękając się, aby mnogie listy, które on do nieboszczki hrabiny pisywał, nie posłużyły hrabiemu za broń przeciw niemu u panny Herens, rzekł: »Jeszcze jednę prośbę, panie hrabio. Żona pańska umarła, zapomnijmy co było, i bądź pan łaskaw oddać mi moje listy do jego nieboszczki żony,»

»Kto inny —» ozwał się hrabia — »oddałby je na ręce panny Herens, lecz ja będę spaniałomyślniejszym, i nie mówiąc nikomu o tych listach, zwrócę je panu, skoro pan de Herens odmówi mi swojéj córki.»

To rzekłszy, pożegnał się hrabia i wyszedł.

Wkrótce mówiono powszechnie o rychłém połączeniu panny St. Herens z Locmarią, jako o pewnéj rzeczy. Młody margrabia nie był wprawdzie wcale bez troski względem swego rywala; lecz gdy ten do swego zamku w lesie powrócił, a państwo Herens Locmarię zawsze z jednostajną przyjmowali uprzejmością, nabrał Locmaria znowuż otuchy. Jedno, co go jeszcze trapiło, byłato obawa, czy też hrabia przyrzeczenia dotrzyma, i nie robiąc żadnego z jego listów użytku, nazad je odda. Wreszcie otrzymał list następny:

»Panie margrabio! Tylko młodość bywa

szczęśliwą w miłości, a starość musi jéj ustąpić, wstydząc się nierozsądku, iż chciała iść z nią w zapasy. Składam więc broń, i zostawiam panu wolne pole. Będę odtąd żył jedynie w wspomnieniach o mojéj zmarłéj małżonce. Ponieważ więc owe listy, które pan odebrać sobie życzysz, tylko bolesne wzbudzać mogą we mnie uczucia, tedy możesz je pan każdéj chwili otrzymać. Racz pan tylko zgłosić się po nie w moim zamku Tonquedec.»

»Przecież nakoniec przychodzi stary do rozumu!» zawołał Locmaria z radością po odczytaniu listu. Poczém nie tracąc czasu, wsiadł na konia, i wybrał się w towarzystwie tegoż samego służącego, który mu ów list przywiózł, prosto do zamku Tonquedec.

Ledwie wjechali do lasu, zaskoczyła ich gruba ciemność, droga stawała się co chwila przykrzejszą, a gdy Locmaria wreszcie zapytał służącego, czy też jest pewnym, iż się na drodze do zamku Tonquedec znajdują, służący odpowiedział zmieszany, iż nie wié pewnie, i że podług wszelkiego podobieństwa zbłądzili.

Bądźto w istocie przypadkiem, bądź też w skutek tajnych rozkazów, jakie służący otrzymał, dość że nasi podróżni rzeczywiscie się zabłąkali, z największą trudnością pomiędy chaszczami w mroku drogę sobie torując; a dopiéro gdy słońce już tylko najwyższe szczyty drzew opromieniać zaczęło, oznajmił służący, iż znalazł znowuż drogę, i że już z dala wieże zamku widzieć się dają.

Ztémwszystkiém nie stanął Locmaria prędzéj jak o późnéj nocy przed zwodzonym mostem zamkowym. Na gwizdnienie służącego spuścił się most starożytny, a znużeni podróżni wjechali na dziedziniec, gdzie było również ciemno jak w lesie, a gdzie nawet z kamieni bujna trawa rość się zdawała. Wreszcie otworzyły się drzwi jedne i wyszedł jakiś stary sługa, aby margrabiemu strzemię przytrzymać i pomódz mu zleść z konia. Samego hrabi Tonquedec nie było w zamku; wyjechał on jeszcze rano na polowanie i miał co chwila wrócić, jeźli — dodał stary służący — nie zechce przenocować w lesie na leśniczówce, jakto często się zdarza.

Locmaria chciał już nazad do Rennes powrócić, lecz obawa zbłądzenia bez przewodnika w lesie, jakoteż znużenie konia, zatrzymały go mimowolnie. Spytał więc czy mimo nieobocność pana, nie może przenocować na zamku, i usłyszał w odpowiedź, iż go najchętniéj przyjmą, poczém otwarto mu natychmiast jakieś drzwi po lewéj stronie dziedzińca. Locmaria postąpił kilka kroków po marmurowéj posadzce, gdy nagle świéca w ręku służącego zagasła, i drzwi za nim się zamknęły. Wszystko to zdarzyło się w taki sposób, iż można było mniemać, że to przeciąg powietrza sprawił; ztémwszystkiém starał się Locmaria zbadać gdzie się znajduje. W téj chwili wystąpił jasny księżyc zza chmury, a przy jego tajemniczéj poświacie ujrzał się Locmaria w starożytnéj kaplicy o wysokich gotyckich oknach. W ciemnéj głębi stał ołtarz marmurowy, na którym śrébrny krucyfiks błyszczał. Powoli przyzwyczaiły się jego oczy do panującego tu mroku, a wkońcu postrzegł iż stąpa po grobach rodziny hrabiów de Tonquedec. Zbliżywszy się zaś ku piérwszéj dużéj, białéj płycie, opartéj o filar kaplicy, wyczytał na niéj te słowa:

Tu spoczywa najdostojniejsza dama, Hildeberga, Gertruda, Dyjana, hrabina de Tonquedec.

Boże! Onażto, ona tu leży, którą on niegdyś tak mocno kochał!— U stóp płyty stała maleńka skrzyneczka, któréj przeznaczenia Locmaria odgadnąć nie mógł. Nie dochodząc jednak bliżéj coby to było, zwrócił się mimowolnie ku drzwiom kaplicy, aby opuścić to miejsce, które tak smutne wspomnienia w jego piersi budziło. Na nieszczęście były drzwi zasunięte i nie można ich było w żaden sposób otworzyć. Wtém skrył się także księżyc za chmury, a tak otoczyła Locmarię zupełna ciemność. Dla doświadczenia ostatniego środka ucieczki, chciał się przerażony margrabia zwrócić ku drzwiom pobocznym, które wprzódy był postrzegł, i postąpił już kilka kroków w tę stronę,

gdy nagle jakiś osobliwszy szelest dał się słyszéć. Zdało się jakby płyta u grobowca hrabiny powoli się usuwała, i jakiś bladawy promień ze sprawionego przeto otworu się wydobywał.

Locmaria miał tyle przytomności umysłu i odwagi, ile każdy młody człowiek mieć powinien, lecz to nadzwyczajne zjawisko w ciszy północnéj, przeraziło jego serce niewypowiedzianą trwogą, a jego drżące usta nie zdołały słowa przemówić. Nakoniec opadła płyta zupełnie, a wydobywające się z głębi światło stawało się coraz jaśniejsze i oświeciło wkrótce całą kaplicę, Locmaria mniemał, iż go zwodny sen łudzi, lub że nań zasadzkę uczyniono, i postanowił drogo życie swoje zaprzedać Oparł się więc o drzwi i dobył szpady. Wtém ujrzał nagą nogę występującą z otworu, potém drugą, a wreszcie całą postać, z grobową lampą w ręku, od stóp do głowy śmiertelnem prześcieradłem okrytą. Postąpiła ona naprzód ku ołtarzowi i uklękła tam jak do modlitwy. Locmarii stanęły włosy na głowie, szpada wypadła mu z ręki i mimowolnie zaczął także szeptać pacierze. Zjawisko wstało, przeszło około wszystkich grobów, które z uwagą oglądało, a gdy się ku Locmarii zbliżyło, opadło z niego grobowe prześcieradło — byłato hrabina. Jasne jéj włosy spływały rozpuszczone po ramionach, skronie jéj zdobił wieniec z uwiędłych kwiatów, lica jéj były blade i zapadłe, usta jéj sine; owe tak niegdyś płomienne oczy zdały się być spopielałém zgliszczem, jéj spokojne i surowe spojrzenia przemawiały jakimś karzącym wyrazem, jéj smutny uśmiech miał coś tak odrażającego w sobie, iż Locmaria niechcący oczy ku ziemi spuścił. Podniosłszy je znowu ku cieniom swojéj ubóstwianéj niegdyś kochanki, ujrzał jak hrabina jakąś aksamitną torbeczkę z herbem Tonquedeków wytrząsała, i jak wszystkie jego listy do nóg mu z niej wypadły. Prawie bez zmysłów, wyciągnął ręce po nie, krzyknął o pomoc, postąpił kilka kroków naprzód, a gdy księżyc znowu przez wysokie okna zaświecił, a Locmaria przytomniéj wokoło siebie spojrzał, była już kaplica próżna, a owa płyta nad grobowcem Dyjany stała znowu jak dawniéj, oparta o filar marmurowy. Nie pozostało więc nic innego, jak podjąć szpadę i schować miłosne listy do kieszeni, te listy, które niezaprzeczony dowód stawiały, iż to wszystko senną złudą nie było.

Zaczém został właściwy cel podróży Locmarii osiągniętym, a zatrwożony margrabia byłby chętnie wyszedł z kaplicy. Gniewała go tedy wielce niedbałość służby, która zamknąwszy gościa w kaplicy, już się wcale o niego nie troszczyła, aż nagle dała się słyszéć coraz głośniejsza wrzawa w okolicy zamku, ozwały się sfory, konie, spuszczono most zamkowy, hrabia Tonquedec wrócił

„Czyj to koń?” usłyszał Locmaria hrabię pytającego.

Byłto koń Locmarii, który stał jeszcze na dworze. Odpowiedź którą hrabia otrzymał, zdaje się iż przejęła go żywą niecierpliwością, gdyż można było słyszéć, jak z gniewem różne rozkazy w téj mierze dawał: „Otwórz tamte drzwi, Barnabo! Czemuż one zamknięte? Dla czegoż niezaprowadzono pana margrabiego do gościnnych pokojów?”

W téj chwili otworzyły się drwi od kaplicy, i wszedł hrabia Tonquedec, w stroju myśliwskim, z ulubionym psem gończym.

»Przepraszam, panie margrabio —» ozwał się z ugrzecznieniem do Locmarii — „nie spodziéwałem się iż pan tak spiesznie przybędziesz, gdyż inaczej byłbym czekał na niego. Kazałeś się zapewne, panie margrabio, zaprowadzić do téj kaplicy, aby się za duszę zmarłéj pomodlić?—» To mówiąc wskazał hrabia na grobowiec hrabiny i dodał — „Patrz pan, tu spoczywa nieboszczka, a w téj skrzyneczce znajdziesz pan swoje listy.”

„Nie trudź się panie hrabio; te listy już są u mnie.”

„Jakto panie margrabio, więc miałbyś rozbić kasetkę?” Tu wziął skrzyneczkę do rąk i obejrzał ją naokoło. — „Nie, zamek nienaruszony.”— Potém wyjął mały kluczyk i otworzył kasetkę. Była w niéj w prawdzie aksamitna torebka z herbem, lecz w torebce nic już nie było. »Dziwna!» poszepnął hrabia Tonquedec tajemniczo, i ujął margrabiego pod rękę. „Pójdźmy, pójdźmy, panie margrabio; opuśćmy to smutne miejsce —” i wyprowadził go trwożnie z kaplicy przez długi, starożytny krużganek do obszernéj sali rycerskiéj.

„Teraz powiédz mi, z łaski swojéj, margrabio, jakże się to stało, iż masz już swoje listy?”

Locmaria opowiedział mu całe zdarzenie.

Hrabia Tonquedec wzniósł uroczyście ręce ku niebu i rzekł: „Wierzę ci, wierzę, panie margrabio. Nie jesteś ty sam jeden, któremu duch mojéj nieboszczki się okazał. I ja go już nieraz widziałem, i nie potrzeba było w dodatek odkosza ze strony panny Herens, aby mi moje zamysły ożenienia z głowy wybić. Dziwy podobne tym, które panu przed chwilą się pojawiły, odwiodły mię zupełnie od przedsięwzięcia. Z panem ma się rzecz wcale inaczéj. Dla pana było zjawienie się Dyjany ostatniém pożegnaniem. Listy, ktore panu sama oddała, są dowodem, iż na wieki z jéj pamięci wykréślonym już jesteś. Ztąd możesz się pan bezpiecznie z panną St. Herens żenić. Co do mnie, ja innéj żony mieć już nie będę; Dyjana była moją piérwszą, Dyjana zostanie też ostatnią.”

Margrabia przenocował na zamku, i jak sobie łatwo wystawić, nie miał już powtórnego zjawienia. Nazajutrz rano wrócił zcicha do Rennes, spa-

lił listy, nie mówił nikomu o doznanéj przygodzie, i starał się tylko ile możności dzień zaślubienia z panną de St. Herens przyspieszyć. W końcu nadeszła ta upragniona chwila, wesele odbyło się w domu rodziców narzeczonéj, i wszystka szlachta z okolicy Rennes była sproszona. Książę gubernator z małżonką zaszczycili całą uroczystość swą obecnością. Bawiono się najweseléj. Około północy wystąpił margrabia z panną młodą do tańca, w którym go nikt nie przewyższył; również i jego narzeczona, upiększona radością i toaletą, budziła powszechne podziwienie. Panowała ogólna uciecha, gdy nagle otworzyły się drzwi, a służący oznajmił: »Pan hrabia de Tonquedec i pani hrabina de Tonquedec.»

„Jakto hrabina de Tonquedec?» zabrzmiało na wszystkich ustach. — »Więc hrabia powtórnie się ożenił? — Lecz nie — ach, patrzcie! Wszak to nieboszczka!„

„Nieboszczka! Nieboszczka!» rozległo się po całéj sali, wszyscy potruchleli ze strachu, zaprzestano tańczyć, tancerki tuliły się trwożliwie do swoich kawalerów, muzyka umilkła, a grobowe milczenie nastało po tak żywéj przed chwilą wrzawie.

Tymczasem nieboszczka, opierając się z wdziękiem na zgrabnie sobie podaném ramieniu swego małżonka, postępowała leciuchnym krokiem, z uprzejmym uśmiechem na ustach, coraz daléj na salę. Miała na sobie bardzo bogatą, złotem przetykaną suknię nadzwyczajnéj piękności, jéj śliczne jasne włosy wiły się w naturalnych lokach po szyi, a na jéj licach kwitły róże młodości, krasy i zdrowia. Nie troszcząc się o wrażenie, jakie jéj widok sprawiał, zbliżyła się Dyjana z ukłonem do księżny de Chaulnes, która ją serdecznie uściskała.

„Co widzę, moja droga —» rzekła księżna gubernatorowa — „Oddawnaż to już w Rennes? Pięknie też, żeś pani naszéj dzisiejszéj uroczystości swoją obecnością nowego dodała blasku.»

„Przyrzekłem margrabiemu Locmarii —» ozwał się hrabia Tonquedec — „być na jego weselu, i spodziewam się iż mi będzie wdzięczen za to, że hrabinę przyprowadziłem.»

„A jakże się naszym praryzkim przyjaciołkom powodzi?» spytała księżna — „jak się ma król?»

Dyjana odpowiadała uprzejmie na wszelkie zapytania, zaczęto swobodniéj oddychać w sali, i przekonano się wreszcie, iż to nie jest nieboszczka. Najodważniejsze damy ośmieliły się nawet tak dalece, iż przyszły do Dyjany i zaczęły jéj pyszną suknię podziwiać.

»Dziwicie się bez wątpienia, moi panowie i panie —» rzekł hrabia — »widząc tu moję żonę przed sobą; lecz dzięki Bogu nie była ona zupełnie umarłą, tylko w letarg zapadła, i w drodze z Rennes do Tonquedec przyszła szczęśliwie do siebie; zaczém wysłałem ją dla tém pewniejszego wyleczenia do Paryża. — Panie margrabio Locmaria, czy nie będziesz tak łaskaw, pozwolić mi potańczyć ze swoją narzeczoną, i zrobić też samą przyjemność mojéj żonie?»

„Wpan zadrwiłeś ze mnie» poszepnął mu margrabia do ucha — »Odpowiész mi za to swojém życiem!»

»Skoro się tylko panu podoba» rzekł hrabia, a potém dodał głośno — „Patrz, margrabio, moja żona czeka na pana.»

Margrabia musiał chcąc niechcąc wziąć hrabinę do tańcu. Trzymając zaś jéj drobną rączkę w swojéj ręce, widząc jéj śnieżne, pulchne ramiona, i tę wysmukłą kibić, przypomniał sobie mimowolnie ową scenę w kaplicy. I zdało mu się znowu, iż widzi jéj twarz grobową, owiniętą w śmiertelne prześcieradło. Ta myśl przeraziła go tak gwałtownie, iż zupełnie z taktu wyszedł, i aby nie upaść, musiał się poniewolnie na ręce swojéj tancerki oprzéć. Wtém zsunęła się bransoletka hrabiny na ziemię. Byłato bransoletka z włosów, spięta prześlicznym oryjentalnym rubinem. Poznał ją Locmaria jako teżsamą, któréj niechciał przyjąć od hrabiego.

„Proszę o bransoletkę» rzekła hrabina do niego. »Wszak pan jéj i tak za nic w świecie miéć nie chciałeś.»

Opuśćmy teraz salę godową i nowożeńców, i udajmy się z hrabią i hrabiną de Tonquedec do ich mieszkania.

„I cóż moja kochana, myślisz sobie o tém wszystkiém, coś widziała?» zapytał hrabia będąc sam na sam z swoją żoną. „Jestże to ów młodzieniec, który tak namiętnie przysięgał, iż ciebie jednę na wieki kochać będzie, który cię z domu twojego męża chciał uwieść, i chciał umrzéć dla ciebie! Zaledwie znikłaś mu z oczu, a już zapomniał o tobie; szpada, któréj tak często przeciw sobie dobyć przyrzekał, jeźli cię nie otrzyma, spoczywa spokojnie w pochwie, on zaś sam niesie swoje serce nowéj kochance w ofierze, niechce nawet przyjąć pamiątki z twoich włosów, wstydzi się owszem swojéj dawnéj miłości, gdyż wraz ze swojémi listami chce wszelkie ślady jéj zatrzéć — wiesz o tém dobrze, gdyżeś mu sama te listy doręczyła. Gdyby to tylko jakich złych skutków dla ciebie luba, nie miało.»

»Jakich?» spytała spokojnie Dyjana.

»Stąpałaś wtedy bosą nogą po marmurze w kaplicy, i lękam się, aby ci to nie zaszkodziło.»

Hrabina na głos się roześmiała, a hrabia mówił daléj: „Patrz więc, moja droga Dyjano, margrabia żyje szczęśliwie przy boku innéj kobiety, z którą z miłości się ożenił, i jestem nawet pewny, że twoje zmartwychwstanie zamiast odżywienia jego urojonych uczuć, owszem niechęć mu sprawia. Och,

Dyjano, gdybyś mu była uległa, gdybyś mię była opuściła dla niego, ja, twój stary, lecz z duszy cię kochający małżonek, byłbym tego nie przeżył.»

Hrabinie łzy w oczach stanęły, i z sercem pełném szacunku, a może i miłości, rzuciła się na szyję mężowi.

Nazajutrz rano przybył Locmaria, żądając zadosyćuczynienia. »Mój kochany margrabio —» rzekł pan Tonquedec — »Znasz już przyczyny, które mię skłoniły do odmówienia ci pojedynku, gdyśmy przed pół rokiem naszę sprawę z bronią w ręku rozstrzygać mieli. Obraziłeś mię okrutnie, i to jeszcze w tym czasie, kiedy ja wcale o tobie nie myślałem. Teraz uskarzasz się na mój postępek i upatrujesz w nim wyrządzoną sobie zniewagę. Mogę ci więc zaręczyć, iż postępując sobie jak uczyniłem, bynajmniej ciebie na uwadze nie miałem, lecz pragnąłem tylko dać mojéj żonie naukę i przekonanie, iż młodość — zmienna, a miłość małżonka trwa dłużéj niż namiętność kochanka. I o cóż się pan więc gniewasz? Czy żal panu, iżeś mię nie mógł zhańbić? Dowiodłem panu, iż to przy moim sposobie postępowania, jest niepodobna. Teraz, dzięki mojemu wybiegowi, masz żonę którą kochasz, a która, równie jak cały świat, nie wié, i nigdy się nie dowie, co między nami zaszło. Pojedynek posłużyłby właśnie do wykrycia wszystkiego; gdybyś pan przemógł, tedy podałbyś się na obmowę i zniszczyłbyś całe szczęście swego domowego pożycia; gdybyś zaś przeciw mnie uległ, tedy ściągnąłbyś śmieszność na siebie. Zatém — jeźli masz jeszcze ochotę bić się — to służę.»

Nie było pojedynku; lecz lud miejski, który patrzył na pogrzeb hrabiny, a teraz znowuż żywą i zdrową ją widział, nie chciał wierzyć, aby to naturalnym biegiem rzeczy się stało. Nazywał on zawsze hrabinę de Tonquedec »Nieboszczką» a gdy ona wreszcie po wielu latach rzeczywiście umarła, poczciwy lud wierzył uporczywie, iż »Nieboszczka» jeszcze raz się pojawi.

Wiadomości literackie.

Ze Lwowa: *Tygodnika rolniczo-przemysłowego* T. W. Kochańskiego wyszedł nr. 1szy i zawiéra: 1) O wpływie towarzystw agronomicznych na gospodarstwo wiejskie, z przytoczeniem ustaw c. k. galicyjskiego towarzystwa gospodarskiego. 2) Sposób wytępienia trzcinki i szuwaru z łąk. 3) Doświadczony sposób leczenia bydła na kolki. 4) Środek przeciw zwarzeniu się mleka lub śmietanki. 5) O wystawie płodów przemysłowości w Wiedniu; przez Józefa Żywickiego. (Ciąg dalszy z numeru 52 roku zeszłego.) 6) Przygotowanie jednorocznych szczepów do przesadzenia. 7) Wiadomości handlowe.

Dziennika mód paryskich pod redakcyją Tomasza Kulczyckiego, wyszedł nr. 1szy i zawiera, prócz mód następujące szczegóły: 1) Przypomnienia z podróży po kraju przez Augusta Bielowskiego. 2) Nie masz nadziei. 3) Trzy trąby. 4) Uwagi nad moralnemi chorobami. Zapalenie szlachetnéj strony serca. (*furor ingenuus*). 5) Nowości literackie.

Z Warszawy. Z końcem roku zeszłego zaczęło tu wychodzić nowe pismo zbiorowe, pod nazwą *Dzwon literacki*, wydawane w 5—6 arkuszowych, co dwa tygodnie wychodzących zeszytach przez znanego humorystę Au. Wi. — »Św. pam. Ign. Krasicki» — mówi wydawca w ogłoszeniu — »wyrzekł w jednéj ze swoich bajek: »Wiesz dla czego dzwon głośny?... Dla tego że próżny.» Czci najgodniejszy bajko pisarz snać mówił o dzwonach bez serca; nasz Dzwon literacki nie może być próżny, jest w nim bowiem serce, a daj Boże! aby był najgłośniejszy. Usilném zaś naszém staraniem będzie, aby zawsze tylko *na dobre dzwonił kazanie.*»

Z Czerniowiec. W przeszłym miesiącu wykopano tu w Klokuczce, wsi należącéj do przedmieścia Czerniowieckiego, w głębokości siedmiu stóp pod ziemią, starożytny naramiennik damski z szczérego złota, ważący 65 dukatów, a ozdobiony plecionką z srebrnego druta w karpią łuskę, mocno nadpsutą. Jest to jak twierdzą, zabytek czasów byzantyńskich — piąty, jaki już od lat kilku w tych stronach wygrzebano. W. K.

Nowa metoda lingwistyczna profesora w Kremonie Rosenthal przechodzi wszelkie dotąd znane ułatwiające sposoby nabywania obcych języków. Pan Rosenthal uczy w jedynej lekcyi całej gramatyki; co naturalnie tak wielki podziw sprawia, iż pan Rosenthal w różnych miastach włoskich publiczne akademije dawał, aby całą publiczność o nadzwyczajnych zaletach swojéj nowéj metody i swego szczególnego daru udzielania najdowodniéj przekonać. I tak przy wyprawionéj niedawno podobnéj akademii, na korzyść ubogich, w Lodi, nauczył pan Rosenthal w przeciągu 3 godzin, w oczach zgromadzonéj publiczności, pewnego przyprowadzonego sobie małego chłopca medyjolańskiego: najprzód czytać po niemiecku, tak pismo jak i druki, powtóre odpowiadać na 343 różnych pytań z niemieckiéj gramatyki i historyi literatury, wreszcie łatwe ustępy prozy i poezyi, za jedyną pomocą słownika i umyślnie na to sporządzonych tablic synoptycznych, dokładnie z włoskiego na niemiecki język pisemnie przekładać. — Pan Rosenthal, będący obecnie profesorem niemieckiego języka przy lyceum w Kremonie, jest rodem z Krakowa, gdzie całe wychowanie otrzymał. Wynaleziona przez niego metoda nie ma nic równego sobie w swoim zawodzie, i może, jak to każdy z łatwością pojmie, zupełną kiedyś przemianę w dotychczasowym sposobie uczenia się obcych języków sprowadzić.

Do statystyki wyznań w Rossyi. Dziennik rossyjskiego ministerstwa spraw zagranicznych zawiéra krótką wiadomość o dozwolonych w Rossyi obcych wyznaniach, która w obecnych okolicznościach na szczególną uwagę zasługuje. W r. 1843 było w całem państwie, z wyjątkiem królestwa Polskiego, 8.634.376 osób nienależących do panującego wyznania, jakoto: 2.754.876 wyznawców rzymsko-katolickiego obrządku, 322.626 ormiańsko-gregoryjańskiego, 16.084 ormiańsko-katolickiego, 1.669.601 luterskiego, a 40.691 zreformowanego kościoła; przytém 2.317.644 wyznawców religii mahometańskiéj, 1.763.738 żydowskiéj, 223312 lamaickiéj a 175.914 bałwochwalców. Bez klasztorów, liczono 14.098 kościołów, meczetów, synagog, świątyń pogańskich i innych kościelnych zakładów, a mianowicie rzymsko-katolickich 2009, órmiańsko-katolickich 52, ormiańsko-gregoriańskich 965, luterskich 885, reformowanych 34, mohametańskich 6.199, żydowskich 3.032, lamaiskick 157, a pogańskich 265. — Do panującego kościoła przestąpiło w r. 1843, katolików 3703, Ormian 7, lutrów 363, reformowanych 6, Żydów 1846, Mohametanów 476, bałwochwalców 1816. W latach 1844 i 1845 powiększyła się zapewne liczba tych przejść daleko znaczniéj, gdyż podług jednogłośnych doniesień wielu dzienników, dozują wszyscy katolicy na Litwie, Podolu i Wołyniu, jakoteż luteranie i Ży-

dzi coraz większego moralnego i fizycznego przymusu w tym względzie. Do rzymsko-katolickiego kościoła przeszło tylko 2 protestantów i 2 Mohametanów; do protestanckiego wyznania 120 katolików i 28 Żydów, a do ormiańskiego 11 muzułmanów. Przejście z panującego kościoła do którego kolwiek z wyżej wymienionych wyznań, jakoteż z jakiejbądź chrześcijańskiej sekty do innej niechrześcijańskiej, jest najsurowiej wzbronione. Liczba duchownych ma się do innych stanów, u luteranów, jak 1 do 3786, u reformowanych, 1 do 1265, u rzymskich katolików, 1 do 1686, u ormiańskich katolików, 1 do 1303, u gregoryjańskich Ormian i u Mohametanów, jak 1 do 1120, u Żydów 1 do 1060, a u samoitów, 1 do 63. Wreszcie klasztorów miało być: rzymsko-katolickich 149 z 1332 zakonnikami a 651 zakonnicami, i 30 ormiańsko-gregoryjańskich.

Części pożywne w rozmaitych żywnościach. Na zapytanie francuzkiego ministra spraw wewnętrznych, ile właściwie pożywnych części w różnych żywnościach się zawiéra, wypracowali dwaj członkowie akademii, p. Perany i Vauquelin osobne sprawozdanie, z którego następne szczegóły wyjmujemy: W zwyczajnym chlebie stołowym znajdują się na 100 funtów wagi 80 funtów części pożywnych; w mięsie, biorąc średnie przecięcie rozmaitych gatunków, na 100 funtów tylko 32 funt. części pożywnych; w bobie francuzkim na 100 funt. 80, w grochu 23, w soczowicy 94 funt. części pożywnych. Buraki i jarzyna włoska, należące do najwodnistszych ze wszystkich kuchennych roślin, zawierają na 100 funt. wagi, tylko 8 funt. stałych części pożywnych, marchew tylko 14 funt., a co najbardziej powszechnemu dotychczasowemu mniemaniu się sprzeciwia, jest, iż w kartoflach na 100 funt. nie masz więcej jak 25 funt. części pożywnych. Podług tego oszacowania równa się funt białego chleba blizko 3 funtom najlepszych kartofli, a 75 funt. chleba i 30 funt mięsa 300 funtom kartofli, albo odwrotnie, 1 funt kartofli równa się 4 funtom jarmużu i 3 funtom buraków. — To obliczenie mogłoby się stać użyteczną skazówką dla rodzin, które starać się muszą, aby najmniejszym kosztem jaknajwiększą ilość pożywnych części otrzymać.

Nowy materyjał do budowania. W Augsburgu pojawił się wynalazek, który, gdyby się na wielką skalę dał użyć, wielkie też skutki na przyszłość mógłby przynieść. Powiodło się wyrobić sztuczne kamienie do murowania, które co do jakości i trwałości najlepszemu piaskowcu się równają, a ponieważ bez pomocy ognia sporządzane być mogą, przeto też przynajmniéj o trzecią część tańsze są od zwyczajnych cegieł palonych, zkąd też i coraz bardziej podnosząca się cena drew o wiele spaśćby musiała. Nowy ten materjał, który już w obecności znawców wszelkie proby wodą, ogniem i przyciskiem wytrzymał, składa się z piasku rzecznego, gliny i pewnego cementu, będącego tajemnicą wynalezcy; zresztą daje się ten materjał jak glina w dowolnych formach wyrabiać.

Śmierć Rustana. Dnia 7go grudnia umarł w Doudan, w departamencie Seine i Oise, znany z czasów rzeczypospolitéj i cesarstwa ulubieniec Napoleona, Mameluk Rustan. Był on rodem z Tiflis w Georgii i przyłączył się w r. 1798 do wojsk francuzkich, do których tak mocno się przywiązał, iż ówczesny jeneralny adjutant Napoleona, do służby w namiocie naczelnego wodza go wybrał. Miał Rustan wtedy dopiero lat 19, i nie rozumiał żadnego innego języka prócz ojczystego; ztémwszystkiém powziął osobliwszą przychylność do swego nowego pana, która mu nawet u gwardyi przezwisko »*Barbet noir du petit caporal*« zjednała. Stosownie do swego dawnego zwyczaju spędzał on nocy u progu sypialnego namiotu Napoleona, leżąc na rozscielonym na ziemi płaszczu, co z niezłomną wytrwałością aż do r. 1814 zachowywał. W czasie wypraw wojennych, jeździł on zawsze tuż za Napoleonem, z dużą skórzaną torbą, w której były mapy, perspektywa, mała polna apteczka, posiłki wystarczające do nieskąpego obiadu, wreszcie ładunki do pistoletów cesarza, które Rustan sam z własnego popędu nabijał. W czasie pokoju, przyprawiał on Napoleonowi tabakę, napełniał tabakierki, i podawał codziennie czarną kawę, którą cesarz, jak wiadomo, codziennie dwa, a w polu i cztery razy zwykł był pijać. W roku 1814, gdy się Napoleon na wyspę Elbę oddalił, Rustan, ku powszechnemu zdziwieniu oświadczył, iż chce zostać we Francyi, gdzie z darów cesarza i reszty członków rodziny Napoleońskiej, kapitalik o 5800 franków rocznego dochodu uzbiérał, a oprócz tego jeszcze małą majętność sobie kupił.

Zdanie Irokeza. Pewien prostoduszny »syn puszczy« wybrał się raz w podróż do miasta białych ludzi. Gdzie się tylko pokazał, przyjmowano go mile, zabawiając się jego pociesznémi zdaniami. Wreszcie przyszedł do jednego domu, gdzie się odprawiało wesele. Usiadł sobie z gośćmi do suto zastawionego stołu i używał z zadowoleniem wszelkich przysmaków cywilizacyi. W końcu dopiéro postrzegł, iż pan młody miał lat 60, a panna młoda tylko 18. Zapytany przez nowożeńca, jak mu się narzeczona podoba, i co on też o podobném weselu sądzi — »Bracie!« zawołał dziki patetycznie — »twoja narzeczona jest piękna jak młody księżyc, i na piérwszym przylądku mojej ojczyzny złożę duchowi wszechświata ofiarę, i wrzucę fajkę moję do morza, aby ubłagać błogosławieństwa dla twojéj pięknej żonki. I dobrze też robi, że idzie za ciebie, bo jesteś dobry, poczciwy człowiek, dałeś mi jeść i pić podostatkiem — lecz sądzę iżby jeszcze lepiéj była zrobiła, gdyby zamiast ciebie jednego dwóch mężów po 30 lat była wzięła — coby także na 60 lat było wyszło.«

Wiek oświaty. Pewien zawołany modniś stał jednego poranku w swoim pokoju przed zwierciadłem, rozumie się, przy drzwiach zamkniętych, i zajmował się uroczyście tajemnicami toalety. Wtém puka ktoś zlekka do drzwi, a modniś pyta: »Któż tam?« — »Wierzyciel« odpowiada głos za drzwiami. — »I w cóż wierzysz?« — spyta modniś powtórnie nie mając ochoty otworzyć — »Ny, chcę pieniędzy« — »To zabobon! Idź sobie. Daj mi pokój!«

Redaktor Jan Nep. Kamiński. — Nakładem Spadkobierców Franciszka Krattera.

Drukiem Piotra Pillera.